

Żarcik

30 kwietnia 2017

Słoneczne zimowe południe. Jest silny trzaskający mróz i kędziorki na skroniach oraz puszek na górnej wardze Nadzieńki, która trzyma mnie pod rękę, pokrywają się srebrzystym szronem. Stoimy na wysokiej górze.

U naszych stóp ściele się pochyła płaszczyzna, w której słońce przegląda się, jak w lustrze. Obok nas małe saneczki, obite jasnoczerwonym suknem.

– Zjedźmy na dół, Nadziezdo Pietrowno, błagam. Tylko raz jeden. Zapewniam panią, że nic nam się nie stanie.

Ale Nadzieńka boi się. Cała przestrzeń od jej małych kaloszy[1] do końca lodowej góry wydaje się straszną, niezmiernie głęboką przepaścią. Skoro tylko proponują jej, by wsiadła do saneczek, serce zamiera i oddech się zapiera już wówczas, kiedy spogląda na dół, a cóż dopiero byłoby, gdyby zaryzykowała polecieć w przepaści. Umarłaby, zwariowała!

– Błagam panią, mówię... Nie trzeba się bać. Zrozum pani, że to jest tchórzostwo, brak charakteru.

Nadzieńka nareszcie ustępuje i po jej twarzy widzę, że ustępuje z narażeniem życia. Wsadzam ją bładą, drżącą do sanek, obejmuję ręką i razem z nią staczam się w przepaść. Sanki pędzą jak strzała. Rozcinane powietrze bije po twarzy, wyje, szumi w uszach, szarpie, szczypie boleśnie, chce zerwać nam głowy. Pęd powietrza zapiera nam oddech. Zda się, że szatan porwał nas w swe objęcia i z wyciem ciągnie do piekła.

Otoczające przedmioty zlewają się w jedną długą, niepowstrzymanie biegnącą linię. Jeszcze jedna chwila i zdaje się, zginiemy!

– Kocham cię, Nadziu! – mówię półgłosem.

Sanki zaczynają zwalniać biegu, wycie wiatru i skrzypienie płożów nie są już tak straszne, oddech przestaje zamierać i jesteśmy nareszcie na dole...

Pomagam jej wstać.

– Za nic w świecie więcej nie pojadę – mówi, patrząc na mnie szerokimi, pełnymi przerażenia oczyma. – Za nic w świecie! O mało nie umarłam.

Po pewnym czasie przychodzi do siebie i już zagląda mi w oczy pytająco: czy powiedziałem owe trzy słowa, czy też przywidziały się jej w szumie wiatru?...

A ja stoję obok, palę papierosa i uważnie przyglądam się mojej rękawiczce.

Bierze mnie pod rękę i długo przechadzamy się koło góry. Zagadka widocznie nie daje jej spokoju. Czy te słowa zostały powiedziane, czy nie? Tak, czy nie? Tak, czy nie? Jest to kwestia ambicji, honoru, życia, szczęścia, kwestia niezwykle ważna, najważniejsza na świecie. Nadzia żałośnie, przenikliwie zagląda mi w oczy, odpowiada ni w pięć, ni w dziesięć, czeka, czy nie zacznę mówić. Ach, co za gra uczuć na jej twarzy, co za gra! Widzę, że walczy ze sobą, że chce jej się coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie znajduje słów, jest jej nieswojo, strasznie, przeszkadza jej radość...

– Wie pan co? – mówi, nie patrząc na mnie.

– Co? – zapytuję.

– Przejedźmy się jeszcze raz.

Wchodzimy na górę po schodach.

Znowu sadzam drżącą, bladą Nadzieńkę do sanek, znowu pędzimy w straszną przepaść, znowu wiatr wyje i skrzypią płozy i znowu przy najsilniejszym, najhałaśliwszym rozpędzie sanek, mówię półgłosem:

– Kocham cię, Nadzieńko!

Kiedy sanki się zatrzymują, Nadzia ogarnia wzrokiem górę, po której dopiero co pędziliśmy, potem długo przygląda się mojej twarzy, wsłuchuje się w mój obojętny, spokojny głos i cała, cała ona, nawet jej mufka, baszłyk, cała jej postać wyrażają niezwykle zdumienie. Na twarzy jej jest napisane: „Co to jest? Kto powiedział te słowa? Czy on, czy też przywidziało mi się tylko?”

Ta niepewność pozbawia ją spokoju, wytrąca z równowagi. Biedna dziewczyna nie odpowiada na pytania, twarz jej się chmurzy, gotowa się rozpłakać.

– Czy nie czas do domu? – zapytuję.

– A mnie... mnie się podoba ta jazda – mówi, rumieniąc się. – Czybyśmy się nie przejechali jeszcze raz?

Jej „podoba się” ta jazda, a gdy siada do sanek, jest blada, ledwo dyszy ze strachu, drży.

Zjeżdżamy po raz trzeci i ja widzę, jak ona patrzy mi w twarz, śledzi ruchy moich warg. Ale przykładam chustkę do ust, kaszlę i gdy dosiegamy środka góry, mówię:

– Kocham cię, Nadziu!

I zagadka zostaje zagadką. Nadzia milczy, myśli o czymś...

Odprowadzam ją do domu; stara się iść nieprędko, zwalnia kroku i wciąż oczekuje, czy nie wypowiem tych słów.

I widzę, jak cierpi jej dusza, jak czyni nad sobą wysiłek, by nie powiedzieć:

– Niemożliwe, żeby to mówił wiatr! Ja nie chcę, żeby to mówił wiatr!

Na drugi dzień rano otrzymuję liścik: „Jeżeli pan pójdzie dziś na saneczki, to niech pan po mnie wstąpi. N.”

I od tego dnia zaczynam co dzień chodzić z Nadzią na saneczki i pędząc na dół, za każdym razem wymawiam półgłosem te same słowa:

– Kocham cię, Nadziu!

Wkrótce Nadzia przyzwyczaiła się do tego frazesu, jak do wódki albo morfiny. Nie może żyć bez niego. Prawda, lecieć z góry – jest w dalszym ciągu straszną rzeczą, ale obecnie strach i niebezpieczeństwo nadają szczególnego uroku słowom miłości, które wciąż są jeszcze zagadką i dręczą duszę. Podejrzenie wciąż jeszcze pada na dwoje: na mnie i na wiatr. Kto z nas dwojga wyznaje jej miłość – nie wie, ale jest to jej już widocznie obojętne: wszystko jedno, z jakiego pić naczynia – byle być pijanym.

Pewnego razu udałem się na tor saneczkowy sam jeden; zmieszawszy się z tłumem, widzę, jak ku górze podchodzi Nadzia, jak szuka mnie oczyma. Potem lekliwie wchodzi po schodach na górę. Strasznie jest jechać samej, och, jak strasznie! Jest blada jak śnieg, drży, idzie jakby na stracenie, ale idzie, nie oglądając się, stanowczo. Widocznie zdecydowała się nareszcie spróbować, czy dadzą się słyszeć te cudowne, słodkie słowa, kiedy mnie nie będzie? Widzę, jak blada, z rozwartymi z przerażenia oczyma siada do sanek, zamyka oczy i pożegnawszy się na wieki z ziemią, rusza z miejsca. Ssss... skrzypią płozy... Czy Nadzia słyszy owe słowa – nie wiem... Widzę tylko, że wstaje z sanek, wyczerpana, osłabiona. I znać po jej twarzy, że sama nie wie, czy coś słyszała, czy też nie?... Podczas gdy pędziła na dół, strach pozbawił ją zdolności słyszenia, rozróżniania dźwięków, rozumienia...

Ale oto następuje wiosenny miesiąc marzec. Słońce staje się łaskawsze. Nasza lodowa góra ciemnieje, traci blask i topnieje wreszcie. Przestajemy saneczkować. Biedna Nadzieńka już nie ma gdzie słyszeć tych słów, bo wiatr ucichł, a ja wyjeżdżam do Petersburga – na długo, może na zawsze.

Dwa dni przed wyjazdem o zmroku siedzę w ogródku, oddzielonym wysokim parkanem od podwórka domu, w którym mieszka Nadzieńka... Jeszcze jest dość chłodno, pod nawozem jeszcze leży śnieg, drzewa są martwe, ale już pachnie wiosną i gawrony, układając się do snu, krzyczą głośno.

Zbliżam się do parkanu i długo patrzę przez szczelinę. Widzę, jak Nadzieńka wychodzi na ganek i kieruje smutne, tęskne spojrzenia na niebo... Wiosenny wiatr dmie jej wprost w bladą, ponurą twarz. Przypomina jej o tamtym wietrze, który huczał wtedy na górze, kiedy słyszała owe trzy słowa – i twarz jej staje się smutna, smutna, a po twarzy spływa łza...

I biedna dziewczyna wyciąga obie ręce, jakby prosząc wiatru, żeby przyniósł jej jeszcze raz te słowa. A ja, doczekawszy się powiewu wiatru, mówię półgłosem:

– Kocham cię, Nadziu!

Boże drogi, co staje się z Nadzią? Wydaje okrzyk, uśmiecha się całą twarzą i wyciąga ręce ku wiatrowi, radosna, szczęśliwa, taka ładna.

A ja idę się pakować do drogi.

To było już dawno. Teraz Nadzieńka jest już mężatką; czy wydano ją, czy sama wyszła za drobnego urzędnika – to nie ma znaczenia... ma troje dzieci. Ale tego, jakiegoś chodzili na saneczki, jak wiatr przynosił jej słowa: – „Kocham cię, Nadzieńko!” – nie zapomniała; jest to dla niej teraz najszczęśliwsze, najtkliwsze i najpiękniejsze wspomnienie całego życia.

A ja sam teraz, kiedy jestem starszy, już nie rozumiem, po com mówił owe słowa, po com żartowałem...

Autorstwo: Anton Czechow

Tłumaczenie: A.W.

Źródło: WolneLektury.pl

PRZYPIS

[1] Kalosze – w XIX i na początku XX w. w zimie ludzie zamożni chodzili w kaloszach, zakładanych na pantofle.